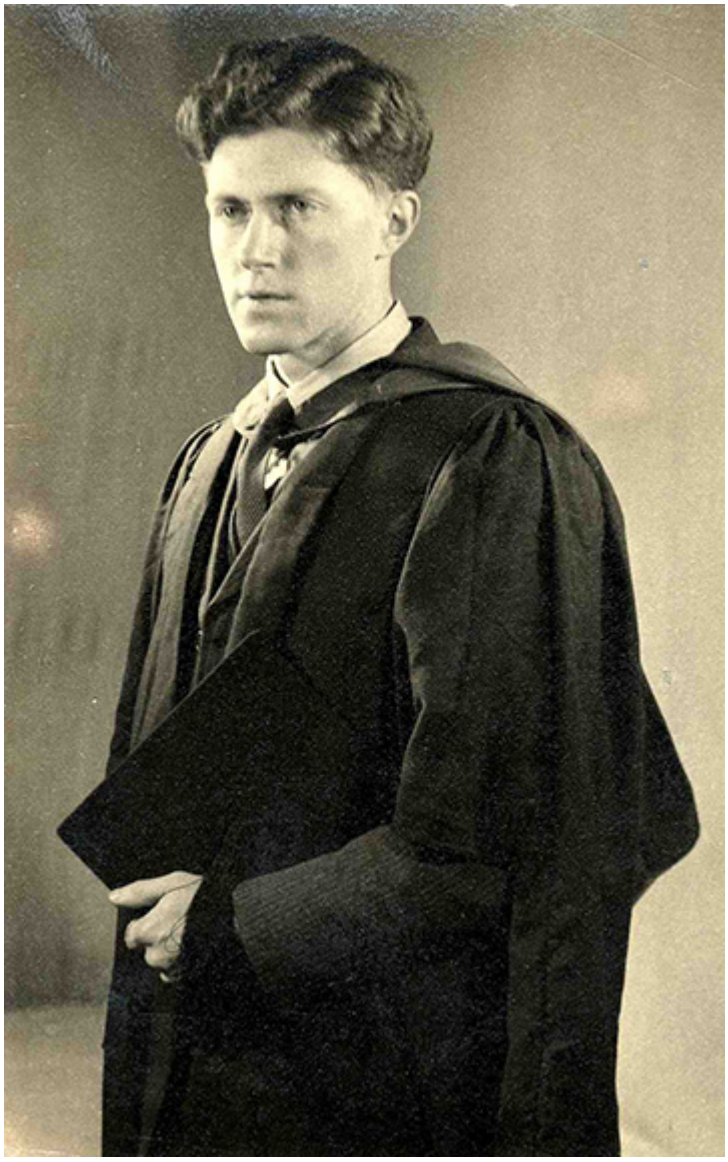
Ułamek istnienia. Bolesław Taborski (1927-2010).

Poeta, teatrolog, tłumacz, dziennikarz radia BBC



Bolesław Taborski w todze, Uniwersytet w Bristolu, fot. arch. Anny Taborskiej

Bolesław Taborski

UŁAMEK ISTNIENIA

życie człowieka to nie tyle sen

co ta jego część kiedy się coś śni

jaki to drobny ułamek istnienia

w czarnej bezsennej nocy przedtem potem

a jak krótko śnią umarłe dzieci

takie to smutne – skrzydła anioła

ogromne – rozpostarte nad kruszynką

malutką która życia nie zaznała

i jaki sens w tym wszystkim – może da go

Bóg – na pewno nie ludzie którzy

bez sensu się snują tłoczą biegną

i zdaje im się że posiądą szczęście

jakże się mylą – śnią tylko przez chwilę

tyle tu stracić – czy tam będzie lepiej

nikt tego nie wie – czy tam będą łzy

> by móc się wzruszyć jąkąś piękną arią –
>
> dowiesz się gdy zobaczysz że zapłakał Bóg
>
> *31.3.2000* r., z tomiku „Ułamek istnienia” (2002).

*

Halina Taborska *(Londyn)*

Bolesław Taborski pochodził z rodziny o tradycjach powstańczych i wojskowych. Oboje pradziadkowie zginęli w Powstaniu Styczniowym, ojciec był legionistą i oficerem artylerii, walczył w dwóch wojnach światowych, matka – dentystka działała w konspiracji i zginęła zamordowana przez Niemców. Bolesław poszedł ich drogą – jako nastolatek wstąpił do AK, walczył w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie, był ranny. Po upadku Powstania stał się jeńcem niemieckim i wygnańcem z własnego kraju. Z obozu jenieckiego w Sandbostel wyzwolili go żołnierze brytyjscy. Po wyzwoleniu przyszedł czas niepewności i trudnych wyborów. Wybrał przede wszystkim naukę – ukończył liceum polskie w Lubece, a po przybyciu do Anglii podjął studia uniwersyteckie na Uniwersytecie w Brystolu. Rozpoczął też studencką działalność – przez kilka lat

pełnił funkcję prezesa koła studentów polskich, działał w organizacjach religijnych i społecznych, grał w angielskim teatrze – rozpoczął długie, pracowite i owocne życie.



Bolesław Taborski odbiera świadectwo maturalne w liceum polskim w Lubece, gdzie przebywał w obozie byłych jeńców wojennych, fot. arch. Anny Taborskiej

Zawsze był wierny Ojczyźnie, uważał, że kiedy jest to konieczne trzeba o nią walczyć, ale bardzo nie chciał zabijać ludzi. Sądził, że swój kraj trzeba przede wszystkim poznawać – fascynowała go polska historia, kochał polską lieraturę, zwłaszcza romantyków, Norwida i Słowackiego, od którego przybrał sobie swój powstańczy pseudonim „Juliusz". Chciał też dzielić się zdobytą

wiedzą z innymi – od wczesnej młodości mówił i pisał o polskiej literaturze, historii i kulturze – dla swoich i dla obcych. W świecie anglosaskim wykładał i publikował prace głównie o polskim dramacie i teatrze, angielscy przyjaciele nazywali go ambasadorem polskiej kultury. Otwarty był także na inne kultury, a szczególnie kulturę angielską. Absolwent anglistyki i teatrologii Uniwersytetu w Bristolu był wielkim miłośnikiem Szekspira, któremu poświęcił jeden ze swych późnych tomików poetyckich, zatytułowany „Mój przyjaciel Szekspir". Kulturę angielską promował w audycjach kulturalnych radia brytyjskiego, nadawanych przez Polską Sekcję BBC – informując na bieżąco polskich słuchaczy, przez 34 lata swojej radiowej pracy – o wszelkich jej przejawach w teatrze, filmie, muzyce, sztukach plastycznych.

Był też wytrwałym tłumaczem wielu ważnych dzieł angielskiej literatury. Jego pierwszym, opublikowanym przekładem książkowym była niezwykła powieść Grahama Greene'a *Moc i chwała*, wydana przez Instytut Literacki w Paryżu w 1956 roku, o powołaniu i pracy księdza w ekstremalnych warunkach i prześladowaniach przez antykościelne rządy. W późniejszej fazie życia najważniejszym życiowym przedsięwzięciem było dla niego tłumaczenie i edytorskie opracowanie prac Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Był oficjalnym tłumaczem Jego dramatów na język angielski i autorem wydania krytycznego *Collected Plays and Writings on Theater*, University of California Press, 1987 oraz

krytycznego wydania poezji, dramatów i pism o teatrze Karola Wojtyły dla Wydawnictwa Watykańskiego *Opere Letterarie*, LEV 1993 i wydawnictwa Bompiani w Mediolanie *Tutte le Opere Letterarie*, 2001. Opracował też rozdział o twórczości Karola Wojtyły do tomu zbiorowego *The Wojtyla Years*, towarzyszącemu nowemu wydaniu Encyklopedii Katolickiej w Waszyngtonie (2001). Opublikował też tom szkiców, wspomnień i wierszy poświęconych Papieżowi – *Wprost w moje serce uderza droga wszystkich*, Toruń 2005. Kulturze polskiej przyswoił swymi tłumaczeniami m.in. 20 dramatów angielskiego noblisty, Harolda Pintera.



Bolesław Taborski (drugi z lewej) z kolegami w Polskiej Sekcji Radia BBC, fot. arch. Anny Taborskiej

Był człowiekiem nadzwyczaj pracowitym – po godzinach pracy radiowej w Polskiej Sekcji BBC siadał do biurka i słuchając klasycznej muzyki pisał przez większość nocy. Pisał przez całe życie, dopóki nie powaliła go śmiertelna choroba. Zostawił po sobie bogatą spuściznę literacką – 25 tomików poezji, książki o teatrze, o Powstaniu Warszawskim, setki przekładów, artykułów i rozpraw. Był też wykładowcą akademickim na uniwersytetach polskich, amerykańskich i na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie PUNO, w Londynie, od którego otrzymał doktorat

honoris causa w roku 2007.

Nade wszystko cenił sobie miłość, wierność i muzykę. Z kobietą, którą wybrał na towarzyszkę życia, spędził przeszło 51 lat, w przyjaźni i wielkim, wzajemnym szacunku. Drugą osobą jego życia była córka Ania. Cieszył się, że niosła w sobie te wartości, które cenił w ludziach najbardziej – dobroć, uczciwość i potrzebę twórczego działania. O muzyce mówił, że tak jak miłość, rozświetlała jego życie i była pocieszycielką w smutku. Odchodził długo i boleśnie, kochający i kochany, cierpliwy w cierpieniu i pełen planów na przyszłość. W ostatnią drogę odprawił Go Ksiądz Proboszcz Marek Reczek, z parafii kościoła św. Andrzeja Boboli w Londynie – ciepło, po ludzku i z Boską Posługą, na kilkanaście godzin przed śmiercią. Odszedł 6 grudnia 2010 roku.

*



Bolesław Taborski i Halina Taborska podczas rocznicy Powstania Warszawskiego, fot. arch. Anny Taborskiej

Bilans?

piszę – podszepty szatana słyszę

anioł zbyt cicho ku sobie woła

co tu zyskałem? co tu straciłem?

jak się ten bilans w końcu ułoży

nie wiem i może się już nie dowiem

bo te przeżycia – sukcesy klęski

się nie sumują ale po sobie

zachodzą pędzą wleką znikają

a ja zostanę bezbronny nagi

czy wzniosę ręce do jasnej nocy?

czy je opuszczę do ciemnego dnia?

zostawię pustkę po sobie w sobie?

czy pełnię nigdzie? wie to księgowy

saldo dodatnie saldo ujemne

wyjdzie na jedno po spaleniu ksiąg

piszę – a diabeł łapy zaciera

> ale nie wygra ze mną przechera
>
> bo ja już pełzam w stronę anioła
>
> 1.7.2007 r.

*

Dokumentalny film biograficzny o Bolesławie Taborskim, zrealizowany przez córkę, Annę Taborską. Zawiera obszerne wywiady z poetą, ilustrowane jego poezją.

*

Film Anny Taborskiej „Moje Powstanie”. Bolesław Taborski odwiedza warszawski Mokotów, gdzie brał udział w powstaniu 1944 r.

*

Zobacz też:

> Najważniejsze jest współczucie

> Historyk sztuki, filozof, pedagog – prof. dr hab. Halina Taborska

> Dużo roboty z tym papieżem

Najważniejsza jest muzyka. Kamil Abt.

Gitarzysta, kompozytor, doktor stosunków międzynarodowych, mistrz wschodniej sztuki walki bujinkan, podróżnik, urodzony w Polsce, wychowany w Australii, mieszka we Wrocławiu.

*



Kamil Abt, fot. arch. artysty

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas):*

Wyjechał Pan z Polski wraz z rodzicami jako dziecko w 1981 r. Czy decyzja rodziców o wyjeździe z kraju była podyktowana sytuacją polityczną?

Kamil Abt *(Wrocław):*

W pewnym sensie tak. Wyjazd był podyktowany bezpieczeństwem rodziny, w kontekście zagrożenia nuklearnego trwającego podczas drugiej zimnej wojny. Rodzice chcieli jak najdalej oddalić się od Europy, dlatego wyjechali aż do Adelajdy.

Czy pamięta Pan tamten czas?

Oczywiście. Moja rodzina wyjechała najpierw do Austrii. Mieszkaliśmy przez jakiś czas w obozie dla uchodźców w Traiskirchen, później w pensjonacie w Unterwaldersdorfie. Pamiętam ucieczkę z przedszkola z koleżanką, zapalenie wyrostka, przejazd karetką, szpital, wizytę rodziców po operacji, samochodzik który od rodziców wtedy dostałem w prezencie. Pamiętam też pierwszy lot samolotem, do Melbourne, a potem Adelajdę i następny obóz dla uchodźców.

W Australii skończył Pan Akademię Muzyczną grał w zespołach muzycznych, współpracował z wybitnymi muzykami. Jak to się stało, że wybrał Pan muzykę, która jest z Panem przez całe życie?

Od zawsze byłem zafascynowany muzyką. Pamiętam, jak babcia zaprowadziła mnie do sklepu z zabawkami, w którym miałem sobie coś wybrać. Na ścianie wisiał kosmiczny pistolet i mała dziecięca gitara; wybrałem gitarę. Później rodzice zabierali mnie na koncerty, słuchaliśmy w domu dobrej muzyki – to były początki mojej edukacji muzycznej. Potem zaproponowali mi lekcje gry na gitarze, na które się oczywiście zdecydowałem. Rodzice mieli wielu znajomych muzyków, którzy u nas w domu bywali, wraz z artystami z innych dziedzin. Mama skończyła szkołę muzyczną, dziadek śpiewał, tata grał na gitarze… to

wszystko wpłynęło na mój wybór.



Kamil Abt, fot. arch. artysty

Gra Pan głównie jazz. Co Pana w nim fascynuje?

Po pierwsze wolność – bo jazz to podejście do grania muzyki na podstawie dużej ilości harmonicznej, melodycznej, rytmicznej i strukturalnej swobody. A po drugie – improwizacja. To fundament wolności w jazzie i bez niej, jazz nie istnieje.

Pana Mama jest poetką i naukowcem – litaraturoznawcą. Czy współpracuje Pan z Mamą, tworzy muzykę do jej tekstów?

Tak. Aktualnie trwa praca nad płytą utworów skomponowanych przez przyjaciół Mamy do jej wierszy. Przearanżowałem i urozmaiciłem je na jazzowo.

Proszę opowiedzieć o tej płycie?

Inspiracją dla muzyków przy tworzeniu płyty „Wariatka" były te wiersze Mamy, które mówią o uczuciach i ciągłej potrzebie kochania. Życie, zwłaszcza życie na emigracji, zakorzenione jest nie tyle w miejscu, czy kulturze, ile w potrzebie spełnienia się i miłości. Miłość – podobnie jak muzyka i wiersz – nie zna granic, stereotypów i podziałów.

Prezentowane na płycie piosenki, zarówno tekstowo jak i muzycznie, cechuje impulsywność. Słowa pędzą i stają, potem łączą się i krzyczą, muzyka czasami je zamyka lub porzuca, a czasem daje upust nastrojowości i melodyjności. Dlatego prezentowane piosenki są podobne do miłości.

Wszystkie piosenki – pierwotnie były wykonywane na żywo na imprezach artystycznych i recitalach poetycko-muzycznych, a dzięki jazzującej aranżacji i muzycznej wyobraźni wykonawców,

otrzymały nową, nieskrępowaną kanonami interpretację instrumentalno-wokalną.



Kamil Abt, fot. arch. artysty

Płyta zatem bardzo ciekawie się zapowiada. A pana Tata, który odszedł cztery lata temu, czego Pana nauczył, czym zainspirował?

Był szanowany, ciepły, odważny, charyzmatyczny, zabawny, kochany przez wszystkich. Tym wszystkim mnie zainspirował i nadal inspiruje.

Jest Pan obieżyświatem, spędził Pan cztery lata w Japonii,

grał w różnych klubach muzycznych w kilku krajach Europy, Australii i Azji. Czego dowiedział się Pan o sobie, podczas tych licznych podróży?

Że umiem się odnaleźć wszędzie, nie tracąc siebie.

Widząc Pana muzyczne pasje nasuwa się pytanie, jak to się stało, że obronił Pan doktorat ze stosunków międzynarodowych ? Czy chciał Pan zostać dyplomatą?

Świat dyplomacji wydaje się fascynujący, przez swoją tajemniczość, ale wolę przebywać wśród sztuki, aniżeli machiawelizmu. Przygoda ze stosunkami międzynarodowymi zaczęła się podczas mojej rekonwalescencji po ciężkim wypadku motocyklowym w Japonii. Po skończeniu studiów magisterskich, zaproponowano mi studia doktoranckie, wraz ze stypendium. Uczenie się jest wspaniałe, daje możliwość rozwoju, więc dlaczego miałbym odmówić? Jednak ten epizod skończył się konkluzją, że najważniejsza dla mnie jest sztuka muzyczna. To ona mi sprawia najwięcej radości i ma największe znaczenie.

W 2014 r. zamieszkał Pan na stałe w Polsce. Skąd ta decyzja? Chciał Pan odszukać swoją przeszłość, korzenie, ścieżki, którymi podążali bliscy?

Dokładnie tak. Poza tym, chciałem dołączyć do europejskiej

sceny jazzowej. Na myśli też miałem bliższy kontakt z rodziną oraz z językiem polskim.

Jak się Pan odnalazł we współczesnej Polsce?

Różnie to bywa. Z jednej strony bardzo podoba mi się polska miłość do wolności, szlachetność i niebezpośredniość. Z drugiej strony, obserwuję, że w Polsce ludzie często kierują się stereotypami; nie przyglądają się dokładnie, nie widzą istoty rzeczy. Skupiają się raczej na ogólnej formie, a co do szczegółów, kierują się historią i utartymi szlakami. Boją się zadawać pytania. Przez to, mam czasami wrażenie, że jestem na siłę wpychany w kategorie myślowe, do których nie pasuję.



Kamil Abt, fot. arch. artysty

*

Strona Kamila Abta:

> Start

*

Zobacz też:

> Aborygeni i ich świat

Rok 2023 Rokiem Krystyny

Bednarczykowej

Ewa Lewandowska-Tarasiuk *(Warszawa)*



Krystyna Bednarczykowa, fot. Jarosław Koźmiński

Można by rzec, iż ostatnie lata mijają nam w objęciach poezji. Okrągłe rocznice wielkich twórców poezji przypominają rodakom o niezapomnianym dorobku poetów, którzy swymi

frazami słów wpisali się na zawsze w kulturową pamięć swego narodu. *Pieśń ujdzie cało,* jak mawiał wieszcz i… uszła, utrwalając narodowe dzieje w niezapomnianych słowach poezji. Warto też wspomnieć, iż za sprawą Polskiego Parlamentu, kolejne, rocznicowe lata poetów, pozwoliły uczynić z nich patronów lat minionych i także już aktualnych. I tak obchodziliśmy nie tak dawno m.in. Rok C. Norwida, K.K. Baczyńskiego, T. Różewicza, w ostatnim , minionym roku czciliśmy pamięć o M. Konopnickiej, a także był to rok Polskiego Romantyzmu, bowiem upłynęło w nim 200 lat od mickiewiczowskiego wydania „Ballad i romansów". Aktualnie mijający rok 2023 ogłoszony został m. in. Rokiem A. Fredry i nie tylko… Odwołaliśmy się tutaj jedynie do wybranych nazwisk niezapomnianych twórców słowa, które pozostało z nami na zawsze. Było ich znacznie więcej. Wspominanych poetów już nie ma wśród nas, ONI odeszli, ale pozostało z nami SŁOWO, Ich SŁOWO…

Wspomniany czas, to piękny czas wspomnień, lektur, *słów, obrazów i dźwięków,* które zapisały i utrwaliły w naszych umysłach i sercach polskość. I dzisiaj, gdy o niej myślimy, gdy pobrzmiewają wśród nas nieśmiertelne kulturowe kody, bywa, że zadajemy sobie pytanie, czy Polakom, w szczególności tym najmłodszym i bardzo młodym, choć nie tylko, znana jest literatura emigracyjna powstająca po 1945 roku? Dla wielu świadomość losów emigracji i jej twórców kończy się na

Mickiewiczu i kojarzy się niemal wyłącznie z powstałym we Francji „Panem Tadeuszem”, niektórzy potrafią przywołać z pamięci jeszcze nazwiska kilku Skamandrytów…, czasem przypominają sobie Miłosza… i to niemal wszystko. Potwierdzam to jako wykładowca akademicki i nie tylko wyrażam ubolewanie nad tym faktem, ale tak ja, jak i moje środowisko profesorskie, próbujemy uzupełniać tę wiedzę młodych ludzi, prezentując na wykładach, choć fragmentarycznie, twórczy dorobek naszych rodaków, którym los kazał odnaleźć się w różnych miejscach krajów osiedlenia, także, a może w szczególności w Wielkiej Brytanii. Warto w tym miejscu wspomnieć, iż niewiele pojawiło się w przygotowywanym lekturowym kanonie szkolnym, w tzw. podstawie programowej ,nazwisk związanych z literaturą emigracyjną po 1945 roku. Przykry jest fakt, iż autorzy programów niemal zapominają o wielkim i wspaniałym dorobku twórców literatury powstającej poza Krajem, o tym, że scenariusze dziejów XX oraz XXI wieku zapisały się znacząco w polskiej kulturze także i tam i to one wnoszą niewygasły wkład w kulturę europejską i światową, a jednocześnie właśnie dzięki tym kulturowym zapisom, nierzadko intelektualnie i artystycznie bezcennych, zrodziło się niegdyś, trwa i trwać będzie, nowe oblicze polskości poza Krajem. Trzeba je przypominać, by ocalić od zapomnienia… I tak też dzieje się rocznicowo, bowiem, gdy ostatnio podczas wykładów dla znakomitych słuchaczy Studiów Podyplomowych dla Nauczycieli Języka Polskiego i Kultury Polskiej poza Polską PUNO i UŁ inspirowałam umysły i serca

studentów ku emigracyjnym twórcom, wspomniałam też, iż właśnie ten rok możemy tutaj uznać jako Rok Krystyny Bednarczyk, której rocznica 100-letnich urodzin minie w tym roku. Krystyna Bednarczyk, współtwórczyni, wraz z małżonkiem, Oficyny Poetów i Malarzy, poetka, humanistka, organizatorka wydawniczego życia SŁOWA…, które wtedy, w czasach zagrażających jego wolności w Kraju, dzięki Krystynie i Czesławowi Bednarczykom pozostało dla nas i dla świata.

Wystarczy wspomnieć, że właśnie tutaj, w Oficynie Poetów i Malarzy publikowali swe utwory m.in. Czesław Miłosz, Aleksander Watt, Marian Hemar, Marian Czuchnowski, Józef Wittlin, Bolesław Taborski, Mieczysław Paszkiewicz, Bogdan Czaykowski, Janusz Ichnatowicz, Tymon Terlecki czy Ignacy Wieniewski i wielu innych; a także niektórzy poeci krajowi np. Kazimiera Iłłakowiczówna, czy Tadeusz Różewicz. Bednarczykowie potrafili wejść w koedycję z czasopismami takimi, jak „Wiadomości Literackie" Grydzewskiego, czy paryska „Kultura" Giedroycia. Prawdą jest, że dzięki temu polska literatura emigracyjna mogła być dostępna w tych czasopismach emigracyjnych.

Wydawcy dokonywali wyborów z udziałem różnych, artystycznie bogatych kryteriów, co nie zawsze też spotykało się z uznaniem odbiorców. Uwikłanie w czas nie zawsze pozwala uchronić się od politycznych wartościowań, które także ich nie

omijały, ale ogromna pasja dla postrzegania wielkiego sensu swej pracy uczyniła ich dzieło niezniszczalnym. To dzięki Oficynie Poetów i Malarzy czytelnik m.in. otrzymał drugie wydanie „Vade Mecum” Cypriana Norwida. Pod znakiem Oficyny Bednarczykowie mogli opublikować nieznane dotąd „Pisma polityczne i filozoficzne” tego samego autora w opracowaniu oryginalnym Miriama-Zenona Przesmyckiego, odkrywcy nieznanego dorobku wielkiego poety. Warto wspomnieć tu nazwisko Tymona Terleckiego, który oprócz znanych wielu dokonań twórczych opracował w 1956 roku „Ostatnie utwory Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. O ileż uboższa byłaby polska literatura bez utrwalenia jedynie wybiórczo wspomnianych dzieł. A wszystko to stało się dzięki pasji jej poznawania i utrwalenia, dzięki wydawniczemu mistrzostwu, ale i, co zaznaczyć trzeba, także niejednokrotnie zdumiewającemu poziomem kompetencji literaturoznawczego podejścia do wydawanych tekstów. Jeśli dodać do tego troskę o malarskość, ilustracyjność wydawanych tomów i tomików, utrwalania w nich plastycznych i graficznych dokonań wielu wybitnych twórców, takich jak m. in. Mariana Bohusza-Szyszki, czy Feliksa Topolskiego, to utrwalane SŁOWO przemawia do czytelnika imponującym bogactwem synkretyzmu sztuk.

Krystyna Bednarczykowa obrończyni ***SŁOWA***, jako współtwórczyni Oficyny Poetów i Malarzy, w której wraz ze swym mężem, Czesławem Bednarczykiem, wydawali polską

literaturę udowadniając, że powstawać może ona wszędzie. Wszędzie tam, gdzie są polscy artyści słowa, jest polska kultura i jest Polska. Nawet wtedy, gdy jak doznali tego i ci Polacy, żyjący w powojennej Polsce, słowo poddane brutalnej cenzurze próbowano uśmiercić. A że słowa uśmiercić się nie da, udowodnili twórcy Oficyny Poetów i Malarzy. Dzięki nim polska literatura przemawia dziś także, a może i przede wszystkim, do młodych Polaków, którzy edukując się schematycznie na lekturowym kanonie i pod maturalny stereotyp, nie odbierają jej wszechobecności i zróżnicowania w jedności.

Książki sygnowane rozetką Oficyny i dziś z rzadka można znaleźć w antykwariatach. Warto też przypomnieć, że Oficyna w 1966 roku wydrukowała drugie po „Kulturze" paryskiej wydanie „Doliny Issy", szczególne także dzięki swej graficznej szacie. Kształt artystyczny i edytorski książek był dla twórców Oficyny równie ważny jak literacki tekst. To z połączenia fenomenu słowa i obrazu, ze współpracy z grafikami i malarzami, takimi jak między innymi Stanisław Frenkiel, Feliks Topolski, czy Józef Czapski, rodziły się, niewielkie w swych nakładach, dzieła sztuki księgarskiej.

*

Trzymam w dłoniach egzemplarz „Wierszy wybranych" Krystyny Bednarczyk, wydany przez Oficynę Poetów i Malarzy w 2005

roku w Londynie, sygnowany ręcznie numerem **162**, który wręczyła mi Autorka z piękną dedykacją 12 maja 2006 roku. Pisze w niej kilka słów miłych memu sercu i dziękując za wykład stwierdza:

> (…) cenny jak zawsze wykład o naszej pięknej polskiej mowie, która mieszkającym poza krajem umyka nam boleśnie.

Tak, Krystyna miała ogromne wyczucie słowa i wielką wrażliwość na znaczeniowe niuanse. Tomik, który otrzymałam z Jej rąk, do którego dzisiaj powracam, potwierdza oszczędność formy, prostotę frazy, kryjącą w sobie zręczność metafory z jednoczesnym bogactwem jej znaczeń, tych potocznych, codziennych i tych wydobywanych z pokładów intelektualnej głębi. Każde z tych znaczeń jest jednakowo ważne, staje się nośnikiem sensów ważkich i drogich. Słowa je wyrażające układają się w klarowne obrazy doznań i przeżyć, by podążający ich tropem czytelnik wchodził w ich światy. Takie wiersze jak: „Warszawa 1941", „Moje pokolenie", „Wiek XX" to poetycko piękne teksty ukazujące zarówno zapis historycznej pamięci jak i cywilizacyjne niepokoje o przyszłość. Poezja Krystyny Bednarczyk to jeszcze jeden zapis losu Jej pokolenia, do którego należeli Gajcy, Baczyński, Stroiński, Trzebiński i inni. Mówi poetka:

> szkoła w której
>
> gwoździe do własnego ukrzyżowania
>
> nieśli z uśmiechem
>
> chłopcy czternastoletni
>
> esesmanom.

To właśnie to pokolenie niosło gwoździe *do własnego ukrzyżowania*. Krystyna Bednarczyk – obrończyni słowa, bowiem Jej współdzieło Oficyna Poetów i Malarzy utrwalając miliony słów, ratowała drogocenny skarb polskiej kultury. W jednym ze swych wierszy powiedziała poetka: „czasem śni mi się, że piszę wiersze”. I to nie sen, to jawa, bo liryczny bohater – poeta w Jej wierszu, przychodzić będzie z ich *światłem dla mnie, dla siebie, dla stojącego na progu Boga*. Uczyńmy ten rok dla nas ROKIEM KRYSTYNY BEDNARCZYKOWEJ – niech trwa…

Artykuł ukazał się w „Tygodniu Polskim” w Londynie, 20 stycznia 2023 r.

*

Zobacz też:

> Londyńska „Oficyna Poetów i Malarzy”

> Drukarnia pod Arkadą

Szelest strun

Rozmowa z Markiem Pasiecznym – kompozytorem, wirtuozem, wykładowcą akademickim, mistrzem gitary klasycznej.



Marek Pasieczny, fot. Grzegorz Pulit

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*:

18 lutego w AISD Performing Arts Center w Austin byliśmy świadkami prawykonania dwóch Pana kompozycji – „Susurrus VI” i „The Elements”. Obydwa utwory zostały napisane w 2023 roku dla Austin Classical Guitar. To był niebywały koncert na gitarę, wiolonczelę, perkusję i orkiestrę gitarową. Tytuł „Susurrus” po łacinie oznacza szept. Poszczególne części – zaklęcie i psalm, czy prosta

piosenka – mają w sobie coś z magii, która budzi nasze pierwotne „ja". W „The Elemens" dotyka Pan żywiołów – ziemia, wiatr, woda, próżnia, ogień. Co było Pana intencją w tych dwóch kompozycjach?

Marek Pasieczny *(Wielka Brytania)*:

Bardzo dziękuję za miłe słowa. To był dla mnie niezapomniany wieczór pod wieloma względami. Przede wszystkim jest niezwykłą rzadkością spotkać duet: gitara klasyczna – instrumenty perkusyjne, tak jak to miało miejsce w utworze „Susurrus VI", a także w „The Elements" – utwórze w formie potrójnego koncertu na gitarę, wiolonczelę, perkusistę (ponad dwadzieścia instrumentów!) z towarzyszeniem osiemdziesięciu gitar.

Tytuł „Susurrus" (łac. susurrare) oznacza szept, pomruk lub szelest. Pierwsze szkice powstawały bez konkretnej instrumentacji, jako czysty materiał kompozytorski do późniejszej adaptacji na różne wersje instrumentów. To jest szósta rozbudowana odsłona tego utworu. Poprzednio zrobiłem wersje choćby na organy solo, na cztery altówki, gitarę i harfę czy gitarę i lutnię barokową.

Moją intencją w „Sususrrus VI" było połączenie w jak najbardziej naturalny sposób dwóch zupełnie sobie odległych światów

brzmieniowych: gitary klasycznej ze światem instrumentów perkusyjnych, takich jak wibrafon, marimba, tajski gong czy tam-tam.

„The Elements” to duża ponad 50 minutowa kompozycja oparta na japońskiej filozofii Go-Dai. Go-Dai czyli grupy pięciu żywiołów, potocznie tłumaczonych jako Ziemia, Woda, Ogień, Wiatr i Duch. Kilka lat temu napisałem koncert na gitarę i orkiestrę również oparty o tę filozofię. Moją intencją było muzyczne przedstawienie tych pięciu żywiołów w jak najbardziej plastyczny, wizualny sposób właśnie poprzez brzmienie. To swego rodzaju ścieżka dźwiękowa do nieistniejącego filmu.

Na samym początku procesu pisania „The Elements”, stworzyłem pięć głównych tematów/części opartych właśnie na tych pięciu żywiołach. Części te mogą być wykonywane zupełnie niezależnie od siebie. Dopiero później dopisałem partie dla trzech solistów oraz zintegrowałem wszystkie pięć żywiołów tworząc monolityczną kompozycję. Tym sposobem „The Elements” może być wykonywane w wielu odsłonach, razem lub oddzielnie.



Fenomenalny koncert w Aisd Performing Arts Center w Austin, 18-tego lutego 2023 r., fot. Jack Kloecker

Do współpracy zostali zaproszeni tacy artyści jak perkusista Thomas Burritt i nominowany do nagrody Grammy wiolonczelista Bion Tsang. Czy pomiędzy kompozytorem i jednocześnie wykonawcą (wykonywał Pan partie gitarowe), a artystami, grającymi na innych instrumentach musi istnieć specjalne porozumienie, aby ostateczny efekt był taki, jak sobie Pan wyobraził?

Bion i Thomas, to nie tylko wybitni muzycy, ale także wspaniali ludzie. Współpraca z nimi to było jedno z najłatwiejszych i najprzyjemniejszych muzycznych spotkań jakie miałem. Warto również wspomnieć o Joe Williamsie oraz Matthew Hinsley, dzięki którym zostałem mianowanym „artystą w rezydencji”

Austin Classical Guitar (ACG). To dzięki nim wszystkie moje projekty i przedsięwzięcia związane z ACG i Austin mogły się odbyć.

Wracając do Bion's i Thomasa. Na wiolonczelę miałem okazję pisać wielokrotnie w przeszłości. Bardzo dobrze znam ten instrument. Natomiast pisanie na perkusję dla solisty (poza partiami czysto orkiestrowymi w przeszłości) było dla mnie niebywałym wyzwaniem, nowym bezcennym doświadczeniem i po prostu świetną zabawą. Pisanie na dwadzieścia jeden instrumentów dla jednego perkusisty w trakcie jednego utworu („The Elements") to naprawdę duże wyzwanie. Nie tylko muzyczne, kompozytorskie, ale także czysto fizyczne – planowanie w czasie i przestrzeni instrumentów, na których gra i do których musi dotrzeć perkusista, to dość skomplikowane przedsięwzięcie. Miałem jednak szczęście pracować z wybitnym instrumentalistą jakim jest Thomas Burritt.

Poza „The Elements", udało mi się opracować dla Thomasa nową wersję mojej kompozycji „Ex Nihilo" („Nihil Fit") na marimbę i gitarę oraz przywołany już „Susurrus VI" (na gitarę i instrumenty perkusyjne). Oba utwory nagraliśmy w studio nagraniowym na University of Austin. Jesteśmy w trakcie edycji materiału.

W koncercie wzięła również udział potężna orkiestra gitarzystów (80 gitar) prowadzona przez dyrektora

artystycznego Austin Classical Guitar – Joe Williamsa. W zespole, oprócz nauczycieli gry na tym instrumencie byli też studenci gitary z Bedichek Middle School i Akins High School, ACG Youth Orchestra and Chamber Ensemble oraz młodzi artyści z UT Austin, UT San Antonio i UT Rio Grande Valley. Gitary używane były w różny sposób, imitowały wiatr, szelest liści itd. Co można osiągnąć komponując na tak duży zespół gitarowy?

Odpowiadając krótko: po prostu niepowtarzalne i unikalne brzmienie. Nie tylko ilości samych gitar, ale także abstrakcyjnych efektów brzmieniowych (jak przywołany przez Panią deszcz, wiatr etc) jakie tak duża ilość młodych adeptów sztuki gry na gitarze może razem jednocześnie stworzyć.

Warto jednak wspomnieć, że na samym początku projektu, wiedząc iż będę dysponował tak dużą ilością gitar – poprosiłem o dwóch solistów: wiolonczelistę (wiolonczela jako instrument melodyczny, integrujący) oraz perkusistę (instrumenty perkusyjne jako szeroki wachlarz brzmieniowy i kolorystyczny). To spotęgowało i uwypukliło moje muzyczne intencje i pomysły w „The Elements". Było dla mnie niezwykle ważne i fundamentalne dla finalnego rezultatu kompozycji mieć zupełnie inne instrumenty w absolutnej opozycji do brzmienia gitar klasycznych.

W ubiegłym roku był Pan rezydentem Austin Classical Guitar. Czym dokładnie Pan się zajmował?

Zagrałem trzy pełne solowe recitale oraz duety z Bion Tsang (wiolonczela), prowadziłem lekcje mistrzowskie na University of Austin w klasie gitary prof. Adama Holzmana oraz odbyłem szereg prób z Joe Williamsem i grupami uczniów ze szkół, które Pani wcześniej wymieniła. Wtedy również odbyłem próby z perkusistą Thomasem Burritem do sesji nagraniowej, jaką zrealizowaliśmy w tym roku. No i właśnie w Austin ukończyłem wersję „Susurrus VI" na gitarę i instrumenty perkusyjne. To był bardzo pracowity i intensywny czas.



Marek Pasieczny z perkusistą Thomasem Burrittem przed koncertem w Austi, fot. arch. kompozytora

Pana biografia wręcz oszałamia. Kilka stopni naukowych, 150 kompozycji w różnych stylach, koncerty w największych salach koncertowych świata, wykłady na najlepszych uczelniach. Do tego powstające prace naukowe na temat Pana kompozycji. Jest Pan młodym człowiekiem, jak udało się Panu to wszystko osiągnąć?

Doprawdy nie wiem. Zawsze robiłem to co kocham:

komponowałem i grałem na gitarze. To chyba najważniejsze, kiedy codzienna praca jest pasją i czystą przyjemnością. Reszta (stopnie naukowe, wykłady na uczelniach etc.) po prostu pojawiały i pojawiają się przypadkiem.

Dzięki muzyce zwiedziłem kawał świata. Bez muzyki nie byłbym w stanie tyle podróżować, tyle przeżyć i tyle zobaczyć. Co potem w naturalny sposób zamienia się w nowe kompozycje, nowe muzyczne spotkania, nowe artystyczne projekty i kolejne nowe podróże.

Pisał pan doktorat na temat dualizmu pomiędzy kompozycją i wykonaniem. Proszę powiedzieć, jak Pan łączy te dwa światy?

Zanim odpowiem na pytanie, chciałbym zwrócić uwagę na ważny aspekt. Rzadkością jest aby tzw. „kompozytor akademicki" wciąż był aktywnym instrumentalistą. Zwykle kompozytorzy piszą dany utwór, a dalej oddają go w ręce instrumentalistom. Ja zawsze bardzo chciałem te dwa muzyczne światy łączyć. Myślę także, że bardzo często kompozytorzy współcześni po kilku latach rozłąki ze sceną i kontaktem z publicznością, lekko zapominają jak to jest być na scenie i jak czasem trudno obronić/sprzedać swoją nową muzykę.

Wracając do Pani pytania: jest to dość dziwne uczucie. Kiedy

komponuję, nie mogę się doczekać, aby dany utwór zagrać na scenie, zaprezentować publiczności. Kiedy jednak kończę proces komponowania, zamieniam role z kompozytora w wykonawcę i zaczynam po prostu ćwiczyć utwór – mam poczucie tracenia drogocennego czasu: zamiast dziesiątek godzin przeznaczonych na opanowanie techniczne, mógłbym przecież napisać coś nowego!

W 2013 roku na Uniwersytecie w Memphis powstała praca doktorska napisana przez Michała Ciesielskiego p.t.: „Concerto Polacco na gitarę solo i orkiestrę Marka Pasiecznego". Czy dużo ma Pan w swoim dorobku utworów z polskimi elementami?

Kiedy studiowałem gitarę w Polsce we Wrocławiu i zaczynałem pisać własne kompozycje, nigdy nie inspirowałem się polską muzyką ludową. Dopiero po wyjeździe z kraju zacząłem doceniać moje własne muzyczne korzenie, moją polską muzyczną tożsamość. Jest to chyba bardzo naturalny proces dla każdego twórcy – doceniamy coś dopiero wtedy, kiedy to tracimy.

Polski folk bardzo często pojawiła się w moich utworach solowych, kameralnych i orkiestrowych od wielu lat. Ale nie tylko. Również stworzyłem utwory nawiązujące do polskich kompozytorów takich jak Fryderyk Chopin, Witold Lutosławski czy Wojciech Kilar. Poza tym skomponowałem cykl pieśni na

fortepian i mezzo-sopran opartych na wierszach polskiej poetki Wisławy Szymborskiej.

Między innymi dlatego w Austin jako duet koncertowy z Bion Tsang wybrałem właśnie „Polish Sketches" – pięcioczęściową suitę na wiolonczelę i gitarę opartą na mało znanych polskich melodiach ludowych z Lubelszczyzny i Roztocza.

Jakie były Pana kompozytorskie początki?

Moim najwcześniejszym świadomym początkiem kompozytorskim jaki pamiętam, było „napisanie" cyklu małych utworów na poszczególne struny na gitarze. A było to tak: w poniedziałek „napisałem" na jedną strunę, we wtorek na dwie, w środę na trzy etc., i tak kończyłem tydzień utworem na sześć strun. Miałem wtedy 6-7 lat.

Stworzyłem swój własny system grania na gitarze i zapisywania nut. Nie wiedziałem jak się profesjonalnie gra, ani tym bardziej jak się czyta zapis nutowy. Wszystko robiłem podświadomie i „po swojemu". Innymi słowy: zanim nauczyłem się profesjonalnie grać, czy też czytać nuty już w jakiś sposób komponowałem.



Marek Pasieczny z wiolonczelistą Bion Tsangiem przed koncertem w Austin, fot. arch. kompozytora

Co Pana urzekło w gitarze, że wybrał ją Pan jako instrument wiodący?

Przypadek. A potem było już za późno. Moim drugim

instrumentem był zawsze fortepian i dlatego komponuję głównie na fortepianie. Również robię wszystko co w mojej kompozytorskiej mocy, aby gitara klasyczna brzmiała inaczej niż do tej pory. Świeżo, innowacyjnie.

Porównując repertuar czysto gitarowy do choćby fortepianowego czy skrzypcowego – my kompozytorzy, mamy wciąż wiele do zrobienia dla gitary klasycznej. I w tym również pokładam mój zapał do pisania na gitarę. Nie ukrywam jednak, że pisanie na inne instrumenty sprawia mi ogromną radość.

Czy komponując czeka Pan na natchnienie, czy też jest Pan z tych, którzy komponują systematycznie, bez względu na nastrój?

Nigdy nie czekam na natchnienie. Oczywiście jest coś takiego jak ten pierwszy impuls, pierwszy pomysł lub przynajmniej jego mały fragment, zarys. Coś, co pojawia się niejako poza naszą kontrolą, poza nasza świadomością. Wtedy trzeba to szybko zapisać, utrwalić, a dalej już zupełnie świadomie rozwinąć. Inaczej to umyka. Ale taki impuls czasem przychodzi z dużym opóźnieniem.

Ryszard Kapuściński powiedział kiedyś, że *podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety. W rzeczywistości zaczyna się dużo wcześniej i praktycznie nie kończy się nigdy, bo taśma pamięci*

kręci się w nas dalej, mimo że fizycznie dawno już nie ruszamy się z miejsca. I właśnie bardzo często piszę kompozycję inspirowaną kulturą danego kraju (jak Japonia, Chiny, Australia czy RPA) tygodnie lub wręcz miesiące po wyjeździe z danego kraju, a nie w trakcie mojego pobytu.

Jaką role odgrywa słuchacz w Pana kompozycjach?

Fundamentalną. Choć zgadzam się z Witoldem Lutosławskim który twierdził, że każdy kompozytor na samym początku pisze przede wszystkim dla siebie. To nam musi się podobać to, co tworzymy. I myślę, że ma się to do każdej z dyscyplin artystycznych. To my twórcy musimy przekonać samych siebie do słuszności danego wyboru / wyborów. Wtedy jest szansa, że publiczność również zaakceptuje naszą kreację. Czasem mam poczucie, iż kompozytorzy czy artyści współcześni o tym zapominają.

Patrząc na utwory, które Pan gra widać bardzo szeroki zakres gatunków muzycznych. W którym z nich czuje się Pan najbardziej naturalnie?

Dla mnie kompozytor jest w pewnym stopniu nie tylko artystą, ale także rzemieślnikiem. To dotyczy również instrumentalistów czy dyrygentów. Kompozytor powinien być w stanie napisać utwór w formie fugi, koncertu, wariacji, w dowolnym stylu: od

renesansowego, przez barokowy, klasyczny, post-romantyczny po a ‘tonalny, współczesny. To mój warsztat. Moja technika. Jeśli tego nie mam, nie mogę iść dalej. Dlatego bardzo często zmieniam style, środki kompozytorskie, techniki, studiuję dorobek innych kompozytorów – zawsze pozostawiając coś integralnego, coś z mojej kompozytorskiej tożsamości w tym co piszę.

W 2004 roku współpracował Pan ze światowej sławy gitarzystą jazzowym Patem Methenym i polską wokalistką jazzową Anną Marią Jopek przy albumie „Upojenie”. Jak Pan wspomina tę współpracę.

Niezwykle miło. Moja przygoda zaczęła się od zharmonizowania i nagrania melodii ludowej „Cichy Zapada Zmrok”, którą Anna Jopek nagrała na swoim pierwszym albumie a’capella. Marcin Kydryński, a potem Pat Metheny zaakceptowali ten aranż. I tak „Cichy Zapada Zmrok” znalazł się jako otwierający *track* w albumie „Upojenie”. Również towarzyszyłem im podczas prób i dwóch koncertów w Sali Kongresowej w Pałacu Kultury w Warszawie. Niezapomniane chwile.

W 2022 roku nagrał Pan dwupłytowy album „Seven Jazz Pieces”. Jakie jest Pana zdanie na temat improwizacji?

Kompozycja, to w dużej mierze zapisana improwizacja. Myślę, że

kompozycje choćby Fryderyka Chopina są tego świetnym przykładem. Przywołany Pat Metheny, ale także jazzowi muzycy jak Brad Mehldau, Lyle Mays, Winton Marsalis, Joshua Redman, Kenny Garrett, John Scofield i wielu innych byli i są moją odskocznią od muzyki klasycznej.

Krzysztof Penderecki powiedział o Panu – *Niezwykle utalentowany kompozytor* (...) *nadzieja dla polskiego repertuaru gitary klasycznej*. Jakie były okoliczności Pana spotkania z Krzysztofem Pendereckim?

Do spotkania doszło w Canterbury w Anglii. W 2009 roku podczas moich studiów podyplomowych w zakresie kompozycji na Royal Conservatoire of Scotland, ówczesny rektor uczelni, wybitny trębacz John Wallace zaproponował mi napisanie utworu na festiwal „Sounds New" w Canterbury.

Na ten festiwal został również zaproszony prof. Krzysztof Penderecki. Oczywiście przyjąłem zaproszenie. Ja „premierowałem" mój nowo napisany kwintet blaszany „Polish Dances" (wykonany przez szkocki kwintet „Pure Brass"), a prof. Penderecki miał angielską premierę swojej kompozycji zatytułowanej „Entrata".



Próba przed koncertem w Austin, fot. arch. kompozytora

Od 2005 roku mieszka Pan poza Polską. Co Pana skłoniło do wyjazdu z kraju?

Na początku po prostu ciekawość. Polska właśnie weszła do Unii Europejskiej, a ja kończyłem wtedy studia. Było dla mnie naturalne, aby wykorzystać tę możliwość i poznać inne kultury od wewnątrz, z bliska. Nigdy tego nie żałowałem. To była jedna z najlepszych decyzji, jakie podjąłem. Jestem przekonany, że nie byłoby mnie tu w Austin w Teksasie, gdyby nie ten pierwszy krok na zachód. Ten pierwszy wyjazd na studia do Szkocji otworzył mi

(dosłownie) cały świat.

Osiadł Pan na stałe w Wielkiej Brytanii. Proszę powiedzieć jakie możliwości, jako kompozytorowi i wykonawcy, daje Panu ten kraj?

Przede wszystkim Wielka Brytania dała mi możliwość kontynuowania edukacji. Studia wyższe i doktoranckie z zakresu gitary, a potem kompozycji w języku angielskim otworzyły mi możliwość wyjazdów na inne uczelnie na całym świecie. To od wielu lat jest to politycznie i ekonomicznie bardzo stabilny kraj. Czuję się tu po prostu bezpiecznie.

Jakie są Pana najbliższe plany?

Właśnie wróciłem z Berlina z festiwalu, na którym „premierowałem" mój utwór „Ex Nihilo" w wersji na dwóch solistów (Anielo Desiderio i Zoran Dukic) oraz duży zespół gitarowy (dyrygowany przez Thomasa Offerrmana).

Poza tym prowadzę zajęcia na uczelni Konserwatorium w Birmingham. Również tam, pod koniec marca, zagramy w pomniejszonym składzie „The Elements" z solistami: Gen Li (wiolonczela) i Mark Ashford (gitara).

W kwietniu wracam na chwilę do Polski. Poprowadzę zajęcia na

Uniwersytecie im. F. Chopina w Warszawie. Zagram tam koncert ze studentami oraz pra-wykonam i nagram dwa nowe duety z jednym z tamtejszych wykładowców – Mateuszem Kowalskim.

Do Austin planuję wrócić z nowymi kompozycjami na zespoły perkusyjne, kontynuując tym współpracę z Thomasem Burritt'em oraz Bion Tsang. Pokochałem Austin jako miasto i nie mogę się doczekać, aby tam wrócić.

*

Zobacz też:

> Światło i sztuka

> Kanadyjska muzyka z Polską w tle

Dotyk kobiety. Artur Skowron – fotografie.

Trwa wystawa fotografii Artura Skowrona: „Woman’s Touch – Dotyk Kobiety”. Christina’ s Restaurant, 853 Manhattan Ave., Brooklyn, New York. Marzec 2023.



Artur Skowron

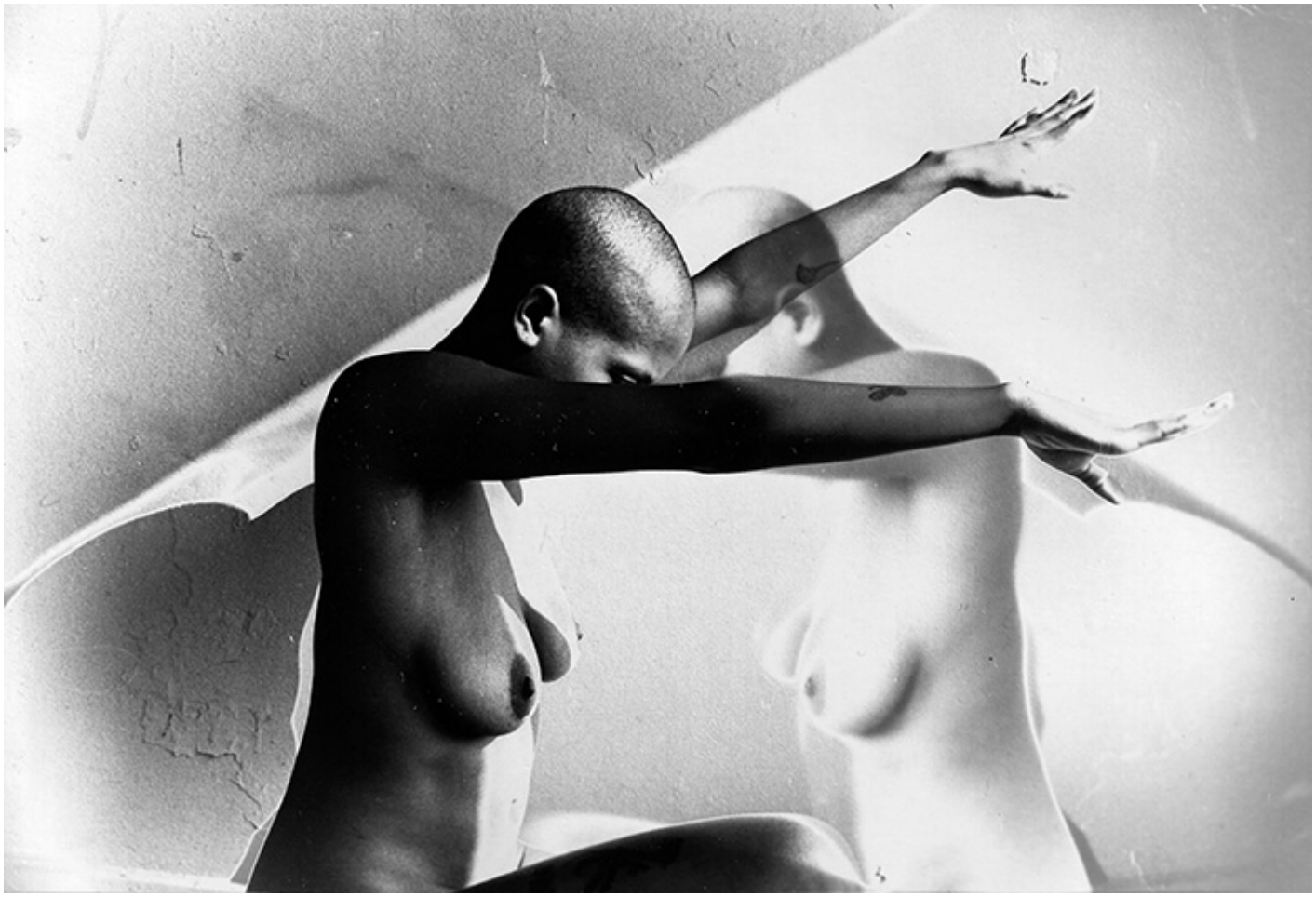
> Akty Artura Skowrona, to pełna delikatności kontemplacja

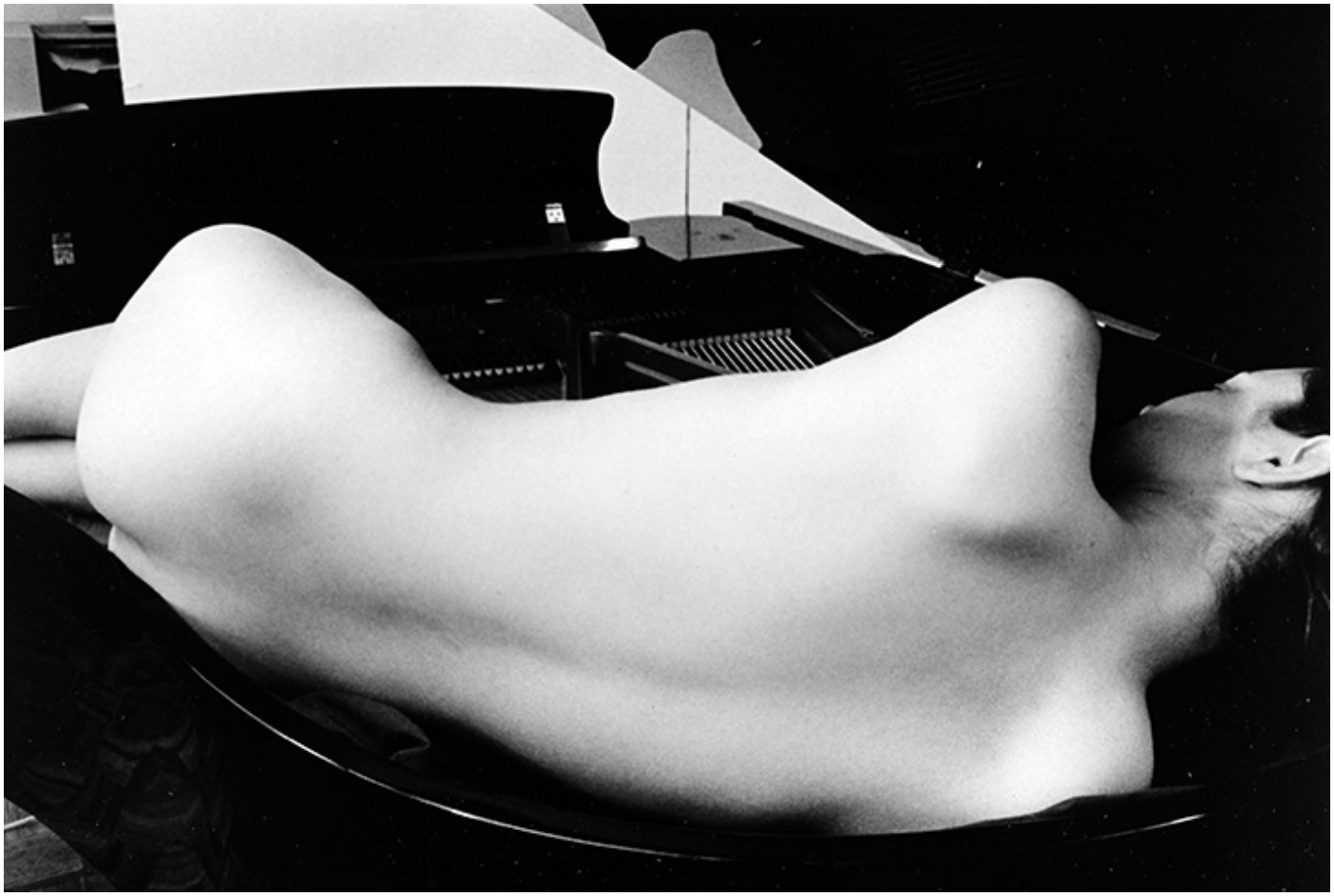
> piękna kobiecego ciała- Joanna Gałecka, „Kurier Plus” 2009.

Artur Skowron urodził się w Starachowicach w 1982 r. Zmarł w Nowym Jorku w 2022 r. Polsko-amerykański artysta, muzyk, poeta i pedagog, mieszkający w Nowym Jorku od 1990 roku. Ukończył z wyróżnieniem High School of Art & Design na Manhattanie. Tytuł magistra edukacji artystycznej uzyskał w Queens College. Artur prezentował swoje prace na ponad trzydziestu wystawach indywidualnych i ponad sześćdziesięciu wystawach zbiorowych m.in. w Stanach Zjednoczonych, Polsce, Niemczech, Francji, Korei Płd. i Chinach. Zdobył kilka nagród artystycznych. Artur był członkiem Emotionalism Art Group i Rockaway Artist’s Alliance. Uprawiał malarstwo, grafikę, ilustrację, rysunek i fotografię czarno-białą. Grał: na organach, fortepianie i gitarze. Wydał również w języku angielskim tomik poezji „Words and Pictures” w 2010 r. Jego pasją było wędkarstwo.

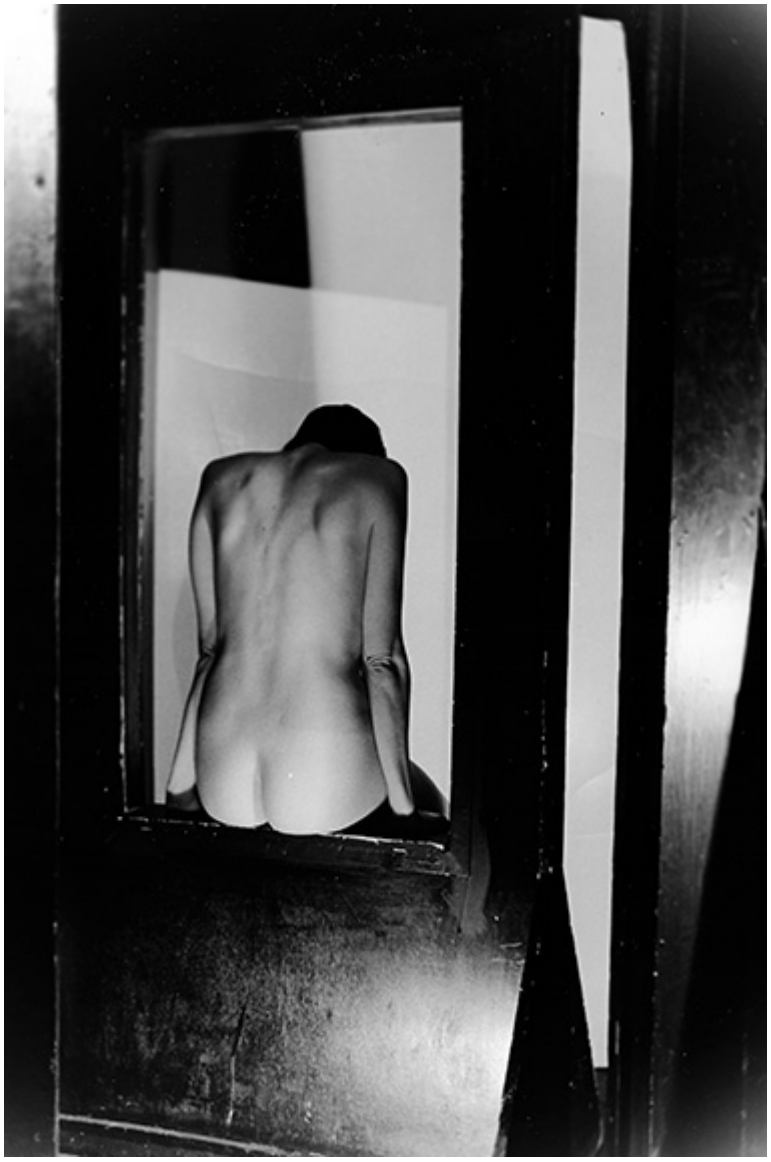
*

G A L E R I A











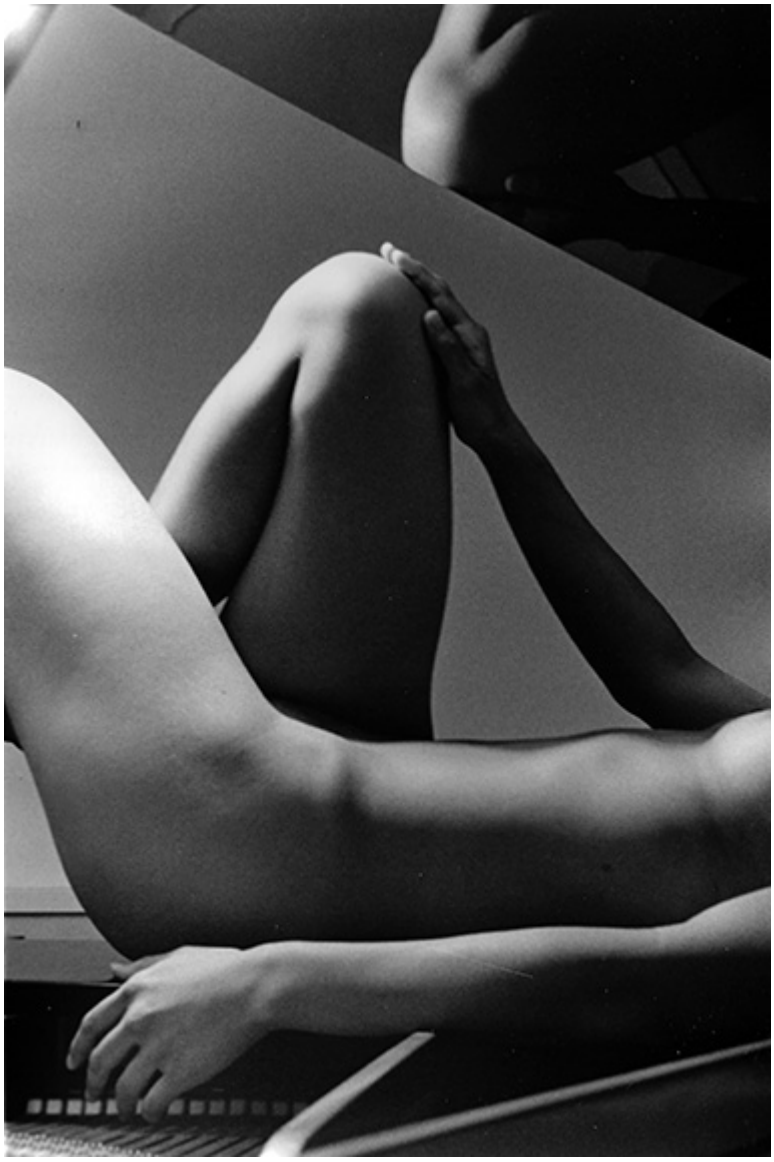
















*

Zobacz też:

> Janusz Skowron. 45-lecie pracy twórczej nowojorskiego artysty.

Halina Birenbaum. „Z historii mojego życia po Zagładzie. Wspomnienia”.

Anna Frątczak

Anna Maria Mickiewicz Literary Waves Publishing, London 2022 r.



Ogromna większość ocalałych zamknęła w sobie doświadczenia potworności Holokaustu tak szczelnie, że tylko przypadek lub wyjątkowo traumatyczne doznania mogą, lub raczej mogły je stamtąd wydostać. We *Wrogach* Singera, *Włoskich szpilkach* Magdaleny Tulli czy *Swacie* Aviego Neshera trauma potworności Shoah owiana jest mgłą mrocznej i bolesnej ponad słowa tajemnicy – możemy się jej tylko domyślać: z gestów, niedomówień, trudnych do wytłumaczenia zachowań i niezrozumiałych, często krzywdzących dla innych, wyborów.

Halina Birenbaum, od kiedy w 1967 roku ukazała się jej pierwsza książka – *Nadzieja umiera ostatnia* aż do – dosłownie – tej chwili,

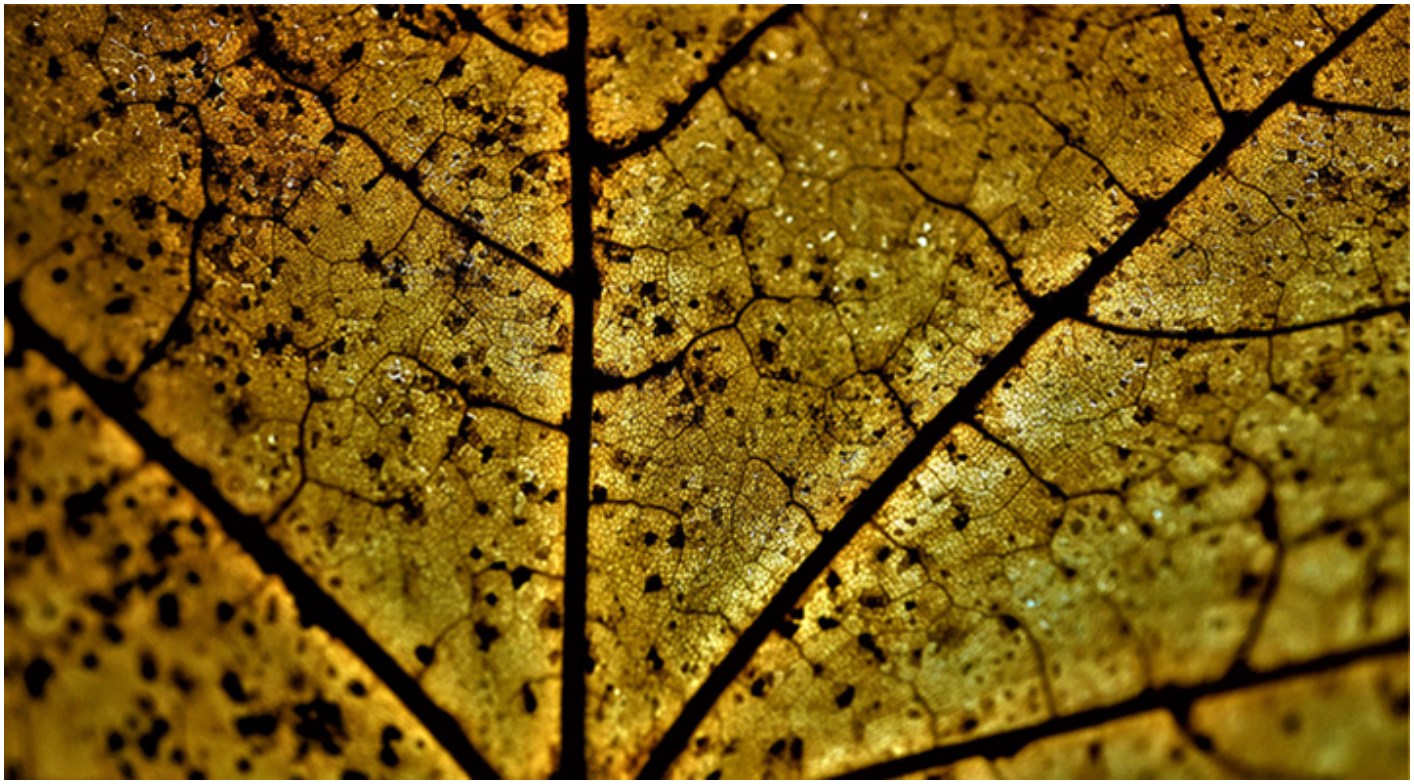
mimo sędziwego wieku, wytrwale, niemal bez wytchnienia opowiada o tym, o czym inni nie chciel,i bądź nie mogli pamiętać. Obszerny tom wydany w 2022 roku przez Wydawnictwo Anna Maria Mickiewicz Literary Waves Publishing i zatytułowany Z *historii mojego życia po Zagładzie*. *Wspomnienia* jest wymownym zapisem trudów, radości, chwil zwątpienia i uniesień, towarzyszacych jej podczas niezliczonych podróży, których miejsca przeznaczenia były różne, ale cel, przeważnie, ten sam. Najprościej byłoby napisać, zgodnie z tym co czytamy we wspomnieniach, którym Autorka nadaje formę datowanego dziennika (uzupełnionego wierszami, krótkimi esejami i fragmentami korespondencji), że relacje tu zawarte dotyczą lat, w których wpisy powstały, czyli 1991-2017. Być może bezpośrednie relacje – jeśli myśleć o nich jako o tysięcznych cegiełkach – tak, ale z pewnością nie zaistniałyby one, gdyby nie spoiwo, którego głównym składnikiem jest indywidualne doświadczenie Zagłady: żywa, wbrew szalejącej wokół śmierci, pamięć dziewczynki, która w dniu niemieckiej inwazji na Polskę miała niespełna dziesięć la,t a w chwili wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Neustadt-Glewe – ledwie piętnaście.

„Wszystko zapisuje się we mnie i nie pozwala zapomnieć" – pisze Birenbaum. Lektura *Wspomnień* otwiera drzwi do dwóch światów: tu-i-teraz i tam-i-wtedy biegną obok siebie blisko jak dwie, równoległe, wydeptane tymi samymi stopami ścieżki. Choć, przyznać trzeba, większa część tych dróg została wylatana.

Osoba czytająca *Wspomnienia* rzadko znajduje Autorkę w domu (codzienność jest jak oddech – pisze – „niezauważalna, jeśli tylko nie wychodzi z normalnego rytmu"), a jeszcze rzadziej w bezruchu: Warszawa, Tel-Aviv, Lood, Nowy Jork, Berlin, Cleveland, Paryż. Gdyby przeciągać na powierzchni globusa nić pomiędzy lotniskami, proporcjonalnie do ilości odbytych lotów uzyskalibyśmy ostatecznie imponującą wielokrotność obwodu kuli ziemskiej. Gdyby zaś pomiędzy lotniskami i mniejszymi miastami, czy miejscowościami przeprowadzić kolejne nici, znów – proporcjonalnie do ilości odbytych podróży – w samochodach, autokarach i pociągach, raz, że zabrakłoby nam motka, a dwa – zyskalibyśmy pełniejszy obraz: Auschwitz, Majdanek, a także Ponary, Tykocin i wiele innych. Trudno oprzeć się wrażeniu, że każda kolejna podróż autorki *Nadziei* do miejsc Zagłady jest „tamtą" drogą *à rebours*, jest jej totalnym i ciągłym zaprzeczeniem: na własnych warunkach, z własnej woli – nie dla eksterminacji i upodlenia, ale dla zrozumienia i prawdy. Każdy wyjazd z izraelską młodzieżą, rozmowa z polskimi i niemieckimi licealistami, spotkanie autorskie, wykład (nieraz szczegółowo, niemal minuta po minucie, opisane w tym tomie) symbolicznie zawraca tamte brudne, ciemne, zimne, pełne cierpienia i śmierci wagony, symbolicznie przekreśla wysiłki wielkich architektów i drobnych wyrobników „ostatecznego rozwiązania", rzucając im w twarz swoje ocalone, wyrwane śmierci przez niewiarygodny splot przypadków życie. A życie jest ruchem. Podczas lektury stopniowo więc wyłania się z tych zapisków obraz człowieka-

jerzyka, który raz rozpostarłszy skrzydła nie może już się zatrzymać. Ja, w każdym razie, lubię tak myśleć o Autorce.

Kiedy pisałam tą recenzję zajrzałam na społecznościowy profil Haliny Birenbaum. Jeden, z młodych Izraelczyków uczestniczący w niedawno zakończonym wyjeździe do Polski napisał (a może tylko automatyczny translator tak to ujął?), że „Halina wymiata!". Translator, czy też nie – zupełnie mnie ten wpis nie zdziwił. Dzięki *Wspomnieniom* można bowiem zrozumieć na czym polega fenomen osoby, która tak wytrwale towarzyszy izraelskiej młodzieży w jej, trudnych przecież, wyprawach do miejsc Zagłady. „Gdy młodzież wracała w rozproszeniu do autokaru, opowiedziałam przewodnikowi o swych odczuciach z Wtedy. Szliśmy razem. Pragnęłam zmienić atmosferę statystyki w coś namacalnego, realnego" – pisze Birenbaum. Imperatyw przełamania podręcznikowej narracji pojawia się w tym tomie często. Edukacja historyczna, wiemy to aż nazbyt dobrze, bywa polem walki koniunktur politycznych, a pojedyncze ludzkie losy łatwo przesłonić makronarracjami. Mikrohistoria zaś, która bazuje na doświadczeniach, uczuciach i pamięci jednostek jest znacznie bardziej odporna na manipulacje, zaciemnienia, czy niedomówienia. Jest to swoiste *credo* Autorki i w nim właśnie należy upatrywać największej wartości *Wspomnień*, które, w tym kontekście, można rozumieć jako zapiski na marginesie dzieła życia.



Fot. pixabay

Triumf światła i nadziei

Wywiad z Martínem García García, zwycięzcą Konkursu Pianistycznego w Cleveland i laureatem trzeciej nagrody na XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina, gdzie otrzymał także nagrodę specjalną za najlepsze

wykonanie koncertu.



Martín García García*, fot. Wojciech Grzędziński*

Bożena U. Zaremba *(Floryda):*

Na Pańskim portalu można znaleźć następujące oświadczenie: Martín García García poczuwa się do odpowiedzialności i służby społeczeństwu, […] zdając sobie sprawę z głębi przekazu jaki ma do zaproponowania każdej osobie, która przychodzi go posłuchać". To niebagatelna deklaracja.

Martín García García:

Tak, to materiał na całą książkę [*śmiech*]. Co mam na myśli to to, że muzyka jest jedynym narzędziem jakim dysponuję, żeby przekazać słuchaczom sprawy transcendentne. Osoba religijna, na przykład, ma do nich dostęp przez swoją wiarę, ale muzyka daje więcej, bo przekazuje wartości związane z całym człowieczeństwem. Muzyka dotyczy jednostki, a nie jakiejś dogmatyki, w którą niektórzy wierzą, inni, nie. Muzyka daje nam możliwość przekazania tych transcendentnych wartości każdemu słuchaczowi.

Czy mówimy tutaj o uniwersalności muzyki?

Wszyscy mówią, że muzyka jest uniwersalna, ale tak naprawdę, to nie wiem, co to znaczy. Może to, że przekaz, jaki niesie muzyka jest w stanie dotrzeć do każdego człowieka na naszej planecie? Zawsze staram się dać z siebie wszystko, bez względu na to, czy słucha mnie jedna osoba, czy wiele. Nie ma dla mnie znaczenia, ile osób słucha, ale jak gram.

Czy podczas podróży stara się Pan dowiedzieć czegoś o lokalnych mieszkańcach, ich historii, języku, tradycjach, lub też zatopić się w ich kulturze?

Tak, oczywiście, próbuję dowiedzieć się przynajmniej trochę, chociaż nie zawsze jest to możliwe. Mając pięć koncertów w pięciu różnych miejscach podczas, dajmy na to, dwóch dni,

musiałbym spędzić 24 godziny na dobę, żeby poczytać na ten temat. A mam w końcu tylko dwie ręce, jeden mózg i dwoje oczu [*śmiech*].

Czy czuje Pan szczególny związek ze swoim hiszpańskim dziedzictwem?

Jak najbardziej. Urodziłem się w północnej Hiszpanii. Moja mama zawsze śpiewała w domu *a cappela*, głównie hiszpańskie piosenki ludowe, n.p. flamenco. Ta muzyka była przekazywana z pokolenia na pokolenie, a mama zna około 50 takich pieśni. Z muzyką hiszpańską odczuwam głęboką więź.

A co z hiszpańską muzyką klasyczną i pianistami?

Jest dużo wspaniałej muzyki hiszpańskiej, szczególnie na fortepian. Jest [Mateo] Albéniz, [Enrique] Granados czy [Federico] Mompou, którego odkryłem nie tak dawno. Jego muzyka jest bardzo głęboka i miała na mnie ogromny wpływ podczas pandemii. To chyba najważniejsi i najbardziej wpływowi kompozytorzy, może też dlatego, że wszyscy byli także znakomitymi pianistami. Oczywiście była też Alicia de Larrocha. Prowadziła nawet klasy mistrzowskie w mojej szkole muzycznej w Madrycie, chociaż było to na długo zanim ja się tam znalazłem. Jej wpływ na każdego pianistę w Hiszpanii był ogromny.

Wygrał Pan Konkurs Pianistyczny w Cleveland i jest Pan laureatem trzeciej nagrody na XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina, gdzie otrzymał Pan także nagrodę specjalną za najlepsze wykonanie koncertu. Czym różniły się te dwa konkursy?

I na jednym, i na drugim, organizatorzy starali się, żebyśmy nie czuli się jak podczas konkursu, ale raczej jakiegoś festiwalu, czy święta muzyki. Jednak były od siebie bardzo różne – inny kraj, inna publika, poza tym każdy z dyrektorów miał zupełnie inną osobowość. W Cleveland nie było tyle stresu, mieliśmy więcej czasu, a ze względu na pandemię, w półfinale znalazło się mniej osób. Mogliśmy się przez to lepiej poznać i atmosfera była podobna do – no, nie wiem – miłego spotkania przy winie. W Warszawie, było zupełnie odwrotnie – to było szaleństwo. Długie i bardzo intensywne. Nie miałem tremy, ale za Konkursem Chopinowskim stoi ogromna historia, z mnóstwem opowieści i anegdot. Każdy młody pianista zna, na przykład, te sławetne schody, które prowadzą na scenę Konkursu. Poza tym wszyscy znamy jurorów, czy to z koncertów, czy innych konkursów. Wielu z nich wygrało Konkurs Chopinowski. To są chodzące legendy. Więc pod tym względem, było to dość ekstremalne doświadczenie.

Podczas trwania Konkursu Chopinowskiego, dzięki streamingowi można było oglądać to, co działo się w

kuluarach, na przykład wywiady z poszczególnymi uczestnikami lub dyskusje w większym gronie. Wyczuwało się współzawodnictwo, ale także przyjacielskie stosunki, jakąś komitywę…

[… Tak,] odczuliśmy to szczególnie w finale, dlatego, że do tego czasu zdążyliśmy się bliżej poznać. Wszyscy byliśmy wykończeni, ale świetnie się rozumieliśmy, bo stanowiliśmy grupę ludzi, którzy w tym samym czasie przechodzili przez to samo. W związku z tym poczucie współzawodnictwa zniknęło.



Martín García García przed wejściem na scenę XVIII Międzynarodowego Festiwalu Pianistycznego im. Fryderyka

Chopina*, fot. Wojciech Grzędziński*

Podczas tych spotkań, Pan ciągle żartował i wszystkich rozbawiał. To poczucie humoru widać też w Pana grze. Na YouTube w jednym z komentarzy po trzecim etapie ktoś napisał, że „podczas gdy [inna uczestniczka] wydobywa ciemną stronę Chopina, Martín García wydobywa jasną stronę jego muzyki". Czy zgadza się Pan z tym?

Tak, jak najbardziej. Z Chopinem związane jest pewne nieporozumienie, że jego muzyka to mrok i desperacja. Ja nie widzę tego w jego muzyce. Dla mnie Chopin jest jak dwie strony medalu. Jest niejednostronny i to właśnie staram się pokazać w moich interpretacjach.

W Atlancie zagra Pan Sonatę b-moll op. 35, a podczas Konkursu zagrał Pan Sonatę h-moll op. 58. Czym się różnią te dwa utwory?

Wszystkim! I do tego trzeba by napisać dwie książki! [*śmiech*]. Pierwsza zmierza w tym ciemnym kierunku, druga w jasnym. Jedyną rzeczą wspólną (oprócz oczywiście kompozytora) są głębokie korzenie w Beethovenie, a wcześniej w Bachu. To dwie strony Romantyzmu: jedna zakorzeniona jest w nurcie *Sturm und Drang,* który pojawił się pod koniec XVIII i miał wpływ na sztukę XIX wieku, pełnym głębokiej desperacji i ciemności. Natomiast w Sonacie h-moll Chopin idzie w kierunku abstrakcji. To taka

symfonia na fortepian. Chopin wkracza w świat emocji, a potem się wycofuje.

Jaką rolę odgrywa Chopin w Pańskim repertuarze?

Taką, jak każdy genialny kompozytor – staram się każdemu z nich poświęcić równą uwagę. W związku z Konkursem Chopinowskim musiałem oczywiście poświecić dużo czasu muzyce Chopina, co miało swoje reperkusje – ta część mojego repertuaru jest bardziej rozwinięta. Uważam Chopina za swojego „przyjaciela" i z jego muzyką czuję szczególną więź.

Co w jego muzyce ceni Pan najbardziej?

Chopin to jak podroż przez całą gamę stylów i emocji, które są zawarte zarówno w jego burzliwym życiu, jak i w jego dziełach. Fascynuje mnie głębokie powiązanie z Bachem i to we wszystkich jego utworach, a szczególnie w Sonacie h-moll. Tak, jak Bach na początku XVIII wieku, Chopin stworzył pewien „szablon" dla przyszłych pokoleń pianistów i muzyków. Poza tym, cenię u Chopina to, że obok wszechobecnej w jego muzyce ciemności, każdy utwór zawiera autentyczny triumf światła i nadziei. Chopin był człowiekiem o większej sile i energii niż by się to mogło wydawać!

Porozmawiajmy o początkach Pana związków z muzyką.

Zaczął Pan grać na fortepianie we wczesnym wieku. Dlaczego wybrał Pan fortepian? Czy ciągnęło Pana do innych instrumentów?

To był zwykły przypadek, chociaż przerodził się w długotrwały związek. To wszystko zaczęło się od mojego brata, który jest starszy ode mnie o siedem lat i który odkrył fortepian w swojej szkole podstawowej. Od początku miałem też szczęście do nauczycieli, którzy przyjechali do Hiszpanii ze Zawiązku Radzieckiego. Zacząłem z nimi grać, gdy miałem pięć lat. To oni coś we mnie dostrzegli i mieli wizję mojej przyszłości. Potem odkryłem inne gatunki muzyki, takie, jak na przykład balet Czajkowskiego. Gdy byłem starszy, zakochałem się w brzmieniu skrzypiec i prosiłem: „Czy mogę też grać na skrzypcach?" Ale mama powiedziała, że nie ma wystarczająco czasu na oba instrumenty. Miała rację. Zawsze kochałem muzykę, ale tak się zdarzyło, że związałem się z fortepianem.

Studiował Pan także w Stanach Zjednoczonych, w Mannes School of Music w Nowym Jorku. Jak do tego doszło?

Byłem w Stanach przez dwa lata. Początkowo przyjechałem na klasy mistrzowskie prowadzone przez Jerome Rose. Mieliśmy wtedy krótką rozmowę, podczas której zaproponował, żebym przyjechał do Nowego Jorku na jego festiwal, a potem zobaczymy, co dalej. Wróciłem do Madrytu i przemyślałem to

sobie. W końcu zdecydowałem, że najwyższy czas opuścić gniazdo. To była dla mnie znakomita okazja. Pojechałem na ten festiwal w 2017 r. To, co zaproponował mi Prof. Rose było całkowicie odmienne od sposobu nauczania, do którego byłem przyzwyczajony. Był bardziej moim mentorem niż tylko nauczycielem i wprowadził mnie nie tylko w meandry muzyki, ale także zawiłości samego życia. Miał na mnie ogromny wpływ. Rozmawialiśmy o muzyce, kulturze i sztuce. To było szalenie interesujące. Dalej utrzymujemy ze sobą kontakt.



Martín García García podczas finałowego etapu XVIII Międzynarodowego Festiwalu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina*, fot. Darek Golik*

Niedawno słuchałam ciekawego wywiadu z przed kilku lat ze [światowej sławy wiolonczelistą] Yo-Yo Ma, w którym przyznał się, że dopiero niedawno uzmysłowił sobie, że oprócz miłości do muzyki, ma w sobie też miłość do bycia muzykiem. Czy jest to niezbędne do trwałej kariery?

Oczywiście, ale może zadajmy sobie pytanie: Co to w ogóle znaczy, że się coś kocha, że czujemy do czegoś pociąg czy uwielbienie? Nie możemy przecież czuć tego przez 24 godziny na dobę. Więc pytam: Jak? Jak dużo? Kiedy? Jeżeli postrzegamy miłość jako jakieś zauroczenie nastolatka, to w pewnym momencie człowiek zaczyna dostrzegać, że to do niczego nie prowadzi, że trzeba pomyśleć jak tę miłość podtrzymać. A to wymaga wysiłku i poświęcenia. Też trzeba znaleźć jakiś cel. Tak jak w każdym związku. Jeżeli muzyk chce utrzymać to „małżeństwo" z muzyką, miłość do samej profesji jest koniecznością. A kiedy to zaczyna ciebie przerastać (co zdarza się każdemu profesjonalnemu muzykowi) trzeba znaleźć sposób na podtrzymanie tej iskry. W moim przypadku, staram się podczas każdego koncertu odnaleźć głęboki sens. Tylko wtedy jestem w stanie zagrać 70, może 90 koncertów rocznie.

Yo-Yo Ma także powiedział – i być może jest to truizm – że najpierw trzeba słyszeć muzykę w głowie zanim się ją zagra. Zgadza się Pan z tym?

Ja widzę to tak: trzeba „stać się” każdym utworem, który chce się zagrać. Inaczej mówiąc, trzeba mieć całkowitą kontrolę nad tym, co się chce przez dany utwór przekazać.

Czy ma Pan jakieś inne zainteresowania oprócz muzyki?

Uwielbiam samochody i „ściganie się” na symulatorze komputerowym. A tak generalnie mówiąc, lubię proste rzeczy. Lubię, na przykład spacer po parku. Zważywszy na mój zwariowany grafik to dla mnie prawdziwy luksus. Lubię też czytać i dobrze zjeść.

Powróćmy do punktu wyjścia i celów muzyki. W Chopin Society of Atlanta staramy się poprzez muzykę klasyczną propagować rozwój intelektualny, emocjonalny i duchowy. Czy wierzy Pan w taką misję?

Więcej niż wierzę. Jakiś czas temu rozpocząłem inicjatywę w Nowym Jorku, którą nazwałem „Musical Society”, a której misja jest bardzo zbliżona do tego, so robi Chopin Society of Atlanta. To jest projekt globalny i mam już studentów z Japonii czy San Francisco. Jego celem jest wpłynąć na ludzkie serca. Od jakiegoś roku zauważyłem w wielu miejscach na ziemi, że mnóstwo muzyków po 20-tce zauważa, że brak im w życiu celu. Wydają się zagubieni. Mają muzykę – narzędzie, które może nadać sens ich życiu, ale nie korzystają z niego. W projekcie znajdą się koncerty,

wykłady i klasy mistrzowskie. I nie chodzi tu o to, żeby uczyć, jak ustawić palce na klawiaturze, ale raczej pokazać jak to jest, kiedy człowiek wychodzi z koncertu z poczuciem odrodzenia.

(*tłum. Bożena U. Zaremba*)

Recital pianisty w Atlancie – 11 marca, godzina 7.30 pm. Szczegóły:

http://chopinatlanta.org/events.html

Angielska wersja wywiadu na stronie Chopin Society of Atlanta:

http://chopinatlanta.org/martin-garcia-garcia-interview-2023.html

*

Zobacz też:

> Chopin zdobywa Atlantę

Czekając na Chopina